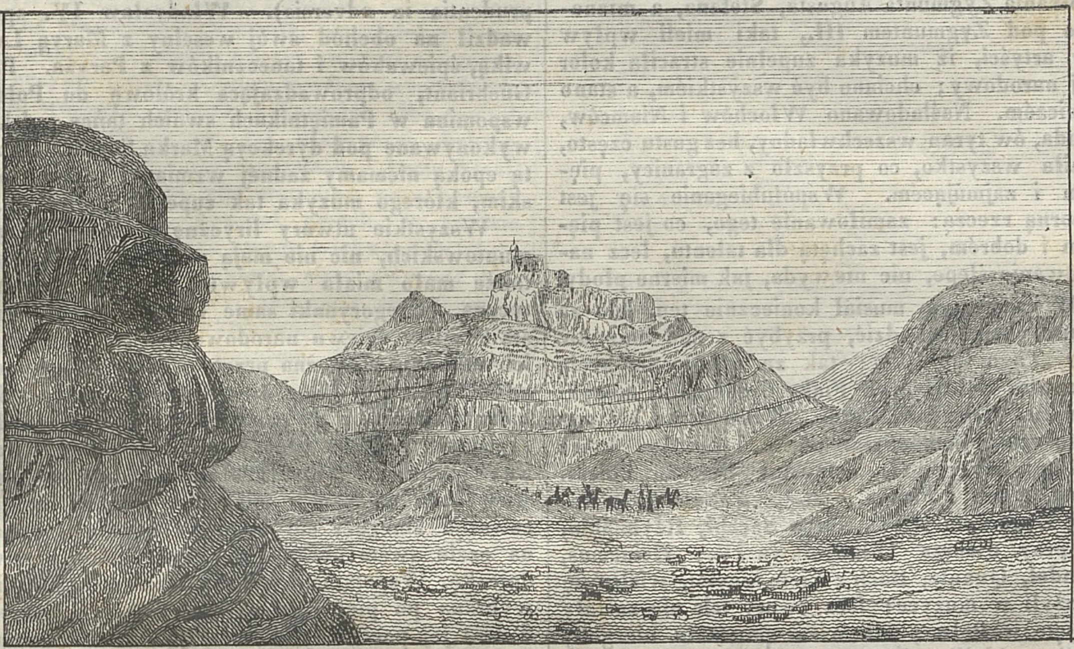
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 43.** Leszno, dnia 28. Kwietnia 1838.



Widok góry Horeb.

Gdy przed lat kilku jeszcze ciekawy podróżnik, chcący krainy Azyi i Afryki zwiedzić, tysiąca trudności, nim zamysł swój do skutku przywiódł, lękać się musiał; dziś przeszkody te usunięte, albowiem codziennie przewożą okręty parowe wędrowników z Marsylii, na Palermo, do Alexandryi. Z Paryża do Kairo, trwa podróż cała dni 7, i drogę tę odbywa się daleko bezpieczniéj i wygodniéj, niż przed lat 50 podróż nie tak wielką w głębi jakiegokolwiek kraju.

Pielgrzymi udają się zwykle z Kairo zwiedzać górę Sinai; droga wiedzie przez cieśninę Suez, pustynią smutną i gołą, gdzie niekiedy tylko widać hyżą kozę dziką, uciekającą z daleka na głos dzwonków zbliżającéj się karawany. Pobyt, choć krótki w pustyni, głębokie czyni na wędrowcach z Europy wrażenie: mimowolnie przenosi się wyobraźnia widza w odległe starożytności czasy, gdy wybrany lud boży te same miejsca, dążąc do własnéj ojczyzny, przebywał pod wodzą Mojżesza. Od Suez zwraca się droga około bagna, otoczonego kilku palmami, pierwszemi zielonemi drzewami na drodze z Kairo; bagno to nosi imię: „źródeł Mojżesza." Tutaj zaczyna się innego rodzaju pustynia, skalista; o niéj mówi podanie, że była oceanem zlawy, którego bałwany skamieniały, w chwili, gdy miotane burzą, całéj okolicy zgubę niosły. Deszcz tu nigdy nie pada: kilka źródeł małych mają smak siarczany, i zawierają wiele części żywicznych w sobie. W bliskości góry Sinai, opisanéj przez nas w N. 44, T. 2, roku pierwszego, jest kilka oaz, wynagradzających wędrownika dostatecznie za podjęte w pustyni trudy. Oazy te zowią Arabowie rajem pustyni.

Wstęp na górę Horeb, bardziéj jest utrudzającym, jak na wierzchołek Sinai; wciąż po urwiskach skał piąć się trzeba z niebezpieczeństwem życia; im bliżéj szczytu, tém przykrzejszy pochód. Z wierzchołka widzisz przed sobą cały półwysep, daléj morze czerwone z swemi wyspami, a przy pogodném niebie odległe Afryki gór pasma.

Kilka słów o muzyce kościelnéj i narodowéj w Polsce.

(Koniec.)

Około końca 16go wieku zasmakowano w muzyce instrumentalnéj, a panowie polscy, miłujący

piękne sztuki, utrzymywali swym kosztem wielkie orkiestry. Artyści i kompozytorowie zagraniczni, znajdując dobre przyjęcie i względy, osiadali w Polsce. Królowa Bona, Włoszka, wezwała z kraju swego rodzinnego wielu muzyków i śpiewaków; i w tym to czasie zwrócono uwagę na dramata z muzyką, do których brano przedmioty z historyi starego lub nowego testamentu. Za panowania Zygmunta Augusta, Stefana, a mianowicie pod Zygmuntem III., taki mieli wpływ obcy artyści, iż muzyka zupełnie straciła kolor swój narodowy; chciano być wszystkiém, a stano się niczém. Naśladowano Włochów i Niemców, a moda, ów tyran wszechwładny, bez gustu często, czyniła wszystko, co przyszło z zagranicy, pięknèm i zajmującém. Współubieganie się jest wyborną rzeczą: zamiłowanie tego, co jest pięknèm i dobrém, jest zachętą dla talentu, lecz naśladowanie ślepe, nic nie wyda, jak mierne płody.

W czasie tym musiał koniecznie ten, kto za geniusz chciał uchodzić, przybyć z nad brzegów Arno, Tagu lub Elby; tak za panowania króla Alexandra był Henryk Fink, dyrektorem muzyki u dworu. Diomedes Catón, Wenecyanin, sławny swego czasu kompozytor pieśni i tańców, które na lutni wygrywał, wezwany był do Polski. Włosi, Ader, i Fulvio, byli śpiewakami przy kaplicy Zygmunta III.; Marco Sacchi, Rzymianin, był przy dworze Władysława IV.; Heinecius, Risendel, Quantz, Bach z wielu innymi, wielce się zasłużyli w muzyce; lecz twory ich nie zostały przyjęte w Polsce, albowiem powstałe niezgody religijne oddaliły xięży polskich od kompozytorów niemieckich. — U Dominikanów i Jezuitów w Krakowie, wystawiano dramata z muzyką; były to dialogi, prowadzone przez osoby wzięte z starego lub nowego testamentu; pomiędzy scenami przegrywała muzyka. Śpiewano także pieśni proste i piękne na cześć S. Grzegorza (Gregoryanki). Dialogi te były niekiedy bardzo długie, a liczba występujących w nich osób, bardzo wielka. Najdawniejsze takie drama jest z roku 1533, bez imienia autora; zaczyna się w niedzielę palmową, a kończy w wielką środę. Śpiewacy kościelni, grający te sztuki po klasztorach, wystawiali je także podczas karnawału po pałacach panów.

Przed wprowadzeniem Jezuitów do kraju (roku 1565), trzy rodzaje były teatru w Polsce, t. j.: 1. Dialogi wystawiane po szkołach. — 2. Drama z muzyką. — 3. Maszkary mięsopustne (bacchanalia). W r. 1603 zakazali ostatnie biskupi krakowscy, ponieważ protestanci wyśmiewali w nich katolicyzm. W jednéj z takich sztuk występują aktorowie w gorejącém czołnie; widać chór duchów złych, morze zamienia się w piekło, a w tym samym czasie daje się słyszeć muzyka w tyle sceny. W innéj, wystawia scena piekło: Judasz ukazuje się w płomieniach, muzyka gra, a Judasz postępuje śpiewając: „Ave rabbi, ja i drabbi.“ Biskup, co pierwszy podobne rzeczy wystawiać zakazał, wzniósł się nad czas swój i godzien pochwały.

Za panowania pierwszych Zygmuntów wystawiano na dworze tragedye. Jana Kochanowskiego „Odprawa posłów greckich“ grana była z muzyką; późniéj nieco bawiło w Krakowie dwór królewski drama łacińskie, pod nazwą: „Ulyssessa mądrość w przeciwnościach.“ (Ulyssis prudentia in adversis). Władysław IV. sprowadził na obchód swój weselny z Maryą Ludwiką, śpiewaków i taneczników z Paryża. Pani Guebriant, odprowadzająca królowę do Polski, wspomina w Pamiętnikach swoich tańce polskie, wykonywane pod dyrekcyą Marka Sacchi. Przed tą epoką niemamy żadnéj wzmianki o tańcu polskim, którego muzyka tak zupełnie narodowa.

Wszystkie utwory liryczne z czasów pozygmuntowskich, nic nie mają narodowego; muzyka także mało miała wpływu na sztukę dramatyczną. Gregoryanki same łączą w sobie wszystkie zalety śpiewu narodowego; lecz nie mamy ich melodyj, niemożna przeto o nich nic pewnego powiedzieć. Według Juszyńskiego śpiewały kobiety krakowskie gregoryanki w poniedziałek zapustny, podczas uroczystości nazwanéj Comber babski. Wtenczas zgromadzało się mnóstwo ludu na rynku miasta pod orłem białym: zewsząd zbiegały się oddziały niewiast, mające na czele swém obraną z pośród siebie przewodniczkę. Wspomina dotąd lud krakowski Marynę, wybraną po pięć razy na marszałkową Combru. Talent jéj poetyczny wyniósł ją na ten zaszczyt: ona to układała pieśni, które nucono: na dany przez nią znak zaczynały się tańce wśród śpiewów. Przedmiotem gregoryanek była często satyra na biskupów i inne wyższe osoby.

Z tego, co się dotąd powiedziało, wnosić można: naprzód, iż muzyka w średnich i w 16tym wieku wielki miała wpływ na pieśni gminne. Powtóre kościół katolicki rozpowszechnił wiele pieśni, mianowicie hymn Ś. Wojciecha, pieśni na cześć Ś. Stanisława, ogłoszone w r. 1607 przez Diomeda Catona i te, które na różne uroczystości wydał w wieku 16stym przez Jana Zabczyca; śpiewy te sprawiły, iż zapomniano zupełnie o dawniejszych, w których opiewano bóstwa pogańskie, o Walgierzu Wdałym pieśni, i inne wspominane przez Marcina Galla i Bogufała, jakoteż pieśń o piwie koszyczkowém; 3cie, że dwa rodzaje pieśni religijnych, t. j. Gregoryanki i Kolendy, stały się narodowemi. ††

Ratusz w Lwowie.

Przed 335 laty widziano w miejscu dzisiejszego gmachu, drewniany budynek, w którym się odbywały sądy za Zygmunta I. W tym samym czasie założono fundamenta na dom radny z wieżą; albowiem miasto Lwów uważano już od roku 1263 jako stolicę Rusi czerwonéj; w 237

lat od epoki, jak Daniel, xiążę halickie, pobił Tatarów pod Haliczem i jak syn jego Lew dał początek temu miastu, trzy wieki samych odmian nadały wystawionemu przez niego grodowi rozmaite przywileje i nacechowały go powagą. — Trzeba było koniecznie miejsca na składy akt i kancellarye. Od czasów Kazimierza W. gospodarzyli w Lwowie osadnicy z Niemiec, pozyskawszy znaczne przywileje: Ormianie, poprzednicy Niemców, wskrzesili handel, a przez związki z Carogrodem uczynili Lwów składem towarów wschodnich. Rusini wojowali Turków i Tatarów, albo trudnili się uprawą roli, Żydzi, jak zazwyczaj, lichwą. W roku 1501 był starostą miasta i kraju Stanisław z Chodcza: za jego staraniem przy pomocy króla i mieszczan, powstał gmach, w rzędzie pomników wspaniałych owego wieku: stawiał go Hans Blecher, a ze wszech stron zwożony kamień, żelazo i marmury, zamieniły się w jednę massę. W 27 lat po ukończeniu budowy, spłonął gmach ten w części pożarem, lecz w krótkim czasie wzniósł się na nowo i był r. 1531 miejscem chwilowego pobytu Jana Tarnowskiego, dążącego z wojskiem na Wołoszczyznę. W roku 1537 widziały mury ratusza wśród siebie Zygmunta I., zapewniającego Lwowian o swéj łasce, a późniéj nieco Zygmunta Augusta, udającego się na Wołoszczyznę. Stefan Batory odbywał tu sam, podczas pobytu swego, narady z ławnikami miasta. Roku 1587 przybył do Lwowa Stanisław Żołkiewski, wojew. ruski i w sali radnéj przemówił do mieszczan. W roku 1614 zawiązała z pod Smoleńska wracająca hałastra konfederacyą, i żądała od rajców okupu 15000 złtp. Jan Karwacki i Kęcki, naczelnicy związku, nieuszli ręki sprawiedliwości; osądzeni, przed ratuszem zostali żywcem wbici na pal i w górę podniesieni, dwaj inni ćwiertowani, a w 3 dni po téj okropnéj sprawie, 19 szeregowych przed ratuszem ścięto. W roku 1616 zmienił Marcin Campianus kształt czworoboczny dotychczasowéj wieży ratusza w ośmiokątny, i zaczął ją wyżej podnosić. Do robót użył tych, co za przestępstwa publiczne osadzeni byli w więzieniu; a między tymi wielu młodzieńców rozpustnych, życie swe po szynkowniach trawiących, przez rodziców pod straż miejską oddanych. Ztąd poszło, że na zachodniéj stronie wieży umieszczono kamień w kształcie galery, czyli okrętu trzymasztowego: mówiono bowiem, iż swywolna młodzież była na galery wskazaną.

W późniejszych czasach był gmach ratuszny lwowski świadkiem różnych losów kraju: przyjmował do murów swoich monarchów własnych i wrogów ojczyzny, aż w roku 1826, 14. Lipca, zawaliła się wieża jego, z którą połączoną budowę obrad jeszcze roku 1801 w części rozebrano. W następnym roku nastąpiło uroczyste założenie kamienia węgielnego na gmach, na obrazku naszym wystawiony. Wieszcz halickiéj ziemi, J. N. Kamiński, napisał na obrzęd ten z wszelką uroczystością odbyty, pieśń następującą:

Dół głęboko wykopany,
Lud otoczył ciasném kołem:
Pośród ludu nad tym dołem,
Stoi kamień ociosany.
W świetném gronie radnych stanów,
W uroczystém przedsięwzięciu,
Stanął książę, a przy księciu,
Pierwszy kapłan, śród kapłanów.

Jaki zamiar zgromadzenia,
Czyli wam to jawić trzeba?
Kamień pragnie poświęcenia,
By gmach pyszny wzniósł pod nieba.
Siła ludzka mało może,
Rzadko ziści zamiar dzielny;
Fundamentem słowo Boże,
Trzyma mocno głaz węgielny!

Lud.

Niechaj będzie pochwalonem
Niech się święci imię Boże!
By gmach z łoża wyszedł pionem,
Zdrojem świętym skropcie łoże.

Pokłoń czoło budowniczy,
Westchnij w niebo duchem wiary,
Niech do planu i do miary,
Pomyślności Bóg użyczy.
On budownik doskonały,
Jego mocy ufaj śmiało.
Wyrzekł: stań się! już się stało,
Oto stoi gmach wspaniały: —
Żegnaj miły dzień kamieniu,
Uśniesz twardo w matki łonie;
Uczyń zadość przeznaczeniu,
W jego toni, cóż nie tonie!
Przestań świata być tułaczem,
Łzą cię żegna nasze oko,
My cię więcéj nie obaczem,
Pójdziem wszyscy spać głęboko.

Lud.

My cię więcéj nie obaczem,
Ani dziatek naszych dziatki;
Wszyscy uśniem w łonie matki,
Patrz kamieniu, wszyscy płaczem!..

Pójdziem wszyscy bez wyjątku,
Skoro przyjdzie czasu goniec,
Szukać końca dla początku,
Bo początek tam gdzie koniec! ...
Późnych wnuków zgasną oczy,
Wieki przemkną w czasu pędzie. ...
Któż cię z dołu na świat wtoczy,
Jaką mową witać będzie? —
Miałbyś rzucić swe mieszkanie,
Jakie obce witać plemię! ...
Raczéj sobą przebij ziemię,
I w bezdenne leć otchłanie.

Lud.

Trudno zbadać los wyroku,
Niech się harda myśl ukorzy;
Przyszłość nosi klucz u boku,
Furtę losów któż otworzy? —

Weź to pismo wierzytelne,
Weź monetę z kruszcu bitą;
Oddaj ziemi winne myto,
Przyszłym wiekom spłać węgielne.
Czyjém idziesz w dół staraniem,
Kto cię kładzie, kto cię święci,
I pod czyjém panowaniem;
Do potomnéj nieś pamięci. —
Zegar bije — przyszła chwila —
Kamień przyjął pokrop święty;



Ratusz w Lwowie.

Już się dźwiga, już wychyla,
Już jest w dole, już zepchnięty. . .
Pobłogosław ziarnu Panie,
Niechaj w piękny kształt wyrasta:
Ku Twéj chwale, ku czci miasta,
Bóstwa prawdy to mieszkanie:

Lud.

Niech budowa tobą jęta,
Bojnem godłem lwa zaświeci;
Jak z cięciwy strzała pchnięta,
Z dolnych krain w niebo leci!
Tyś potężnéj dłoni ruchem
Niepożyte wzniósł sklepienia,
Czas opasał chwil łańcuchem,
Wieczność wywiódł z dnia zniszczenia;
Tobie Panie! Twojéj dłoni,
Oddajemy nasze dzieło;
Gdy je skrzydło Twe osłoni
Będzie wieki z pnia kwitnęło.

Budowa domu radnego, wyjąwszy kamienia, cegły i gliny, kosztowała 8000000 złt. r. Gmach ten ma w posadzie kwadr. sążni 1200, piętr 3, wysokości sążni 10½; okien ma 380, pokojów 156, 9 sał, bram 3, a po obu stronach domu straży wielkie wchody. Sama wieża nad strażą wzniesiona, od spodu do szczytu sążni 42. Na czterech rogach ratusza cztery studnie, ozdobione posągami.

Wyimki z podróży malowniczéj po Wielkiéj-Polsce.

Krotoszyn. Kobylin.

W miesiącu Grudniu roku zeszłego, przejeżdżając w dzień niedzielny zrana przez Krotoszyn, pobiegłem na mszą do tamecznego kościoła farnego. Budowla ta gotycka lubo tylu pożarami poniszczona, a ztąd z wszelkich ozdób charakterystycznych obrana, do rzędu dawnych bardzo należy, i pewnie XIV^{go} jeszcze sięga wieku. Któżby takim murom w Polsce, zębem czasu i wojen zniszczonym, nie oddał hołdu, któżby nie wstąpił z uniesieniem serca do świątyni, w któréj bitne naddziady, przy każdéj mszy na dobytych orężach, zaprzysięgali przywiązanie do wiary? Któżby nie szanował tych rdzawych cegieł, co w zimnym lat szeregu stygnąc, stęgły, jako dusza starca po długich doświadczenia zimach. Kościół

krotoszyński, oprócz pięknie rzniętych ławek chóru, ciosowego pomnika kasztelana Rozrażewskiego i kilku starych bezimiennych portretów, nie zawiera w sobie żadnych starożytnych pamiątek; ale posiada on jeden z rzadkich klejnotów, jakich niestety! tak mało w naszym kraju; mówię o obrazie, w wielkim ołtarzu umieszczonym. Mało pamiętam chwil życia, którebym w większém uniesieniu, w uroczystszém zachwyceniu nabożeństwa był spędził, jak owe, które podziwiając to cudownie piękne zdjęcie z krzyża, strawiłem. Wszystko tam gaśnie obok jasności, jaką to śmiertelnie obwisłe ciało Zbawiciela z siebie wypromienia; niknie tam wyraz twarzy świętą usługą zajętych osób, niknie rażąca różnobarwność ich szat, niknie majowa zieloność drzew i murawy, niknie czarność ciemniejącego wdali dna jaskini, niknie nawet i śnieżna białość tego śmiertelnego czechła, na który ciało spuszczone. Jakże piękny ten wyraz zadowolnienia, na tych zimno bladych licach; co za świętość w owych, jakoby snem zasuniętych powiekach; jakaż uroczysta szlachetna powaga w powaloném ciele. Pod powłoką śmierci, w zimnym trupie, takie tam silne, żywe, wszechmocne, pełne, nieśmiertelne, wiekuiste, eteryczne życie króluje, że wszystko, co je otacza i w liryczném życiu się rozwija, z swoją istnością niknie, i téj świetno-śmiertelnéj barwy nabiera, jak ów szary obłok, co w obliczu słońca w złotawo-białą obleka się szatę. Żaden tam przychodzień od razu niedostrzeże ani płaczem wyschłéj twarzy Maryi; ani łez gorzkich, ciekących po lubieżnych piersiach Magdaleny; ani tego żalu, co wskroś Nikodema przejmuje; ani tego smutku, co zasępił czoło Józefa; ani téj boleści, co skrępowała wielką duszę Jana; ani tego uśmiechu, co robi dołki na licach aniołów; bo ten Bóg cielesnie śmiertelny, ten trup tak wdzięcznie, tak bosko piękny, jako król obrazu, podziwienie patrzących pod berło swego uroku pociąga, i całą ciekawość widza w siebie pochłania. Nie widać tam owego fizycznego ciężaru: umarły Bóg nie wali się brzemieniem ku ziemi, ale zda się, iż na drżeniu anielskich głosów, jakoby na niedojrzanych, cudownych, unosi się falach. Nie zrazi tam żadnego widza szpetność srogiego zniszczenia; bo ileż piękności w owych złamaniach obwisłego ciała? jakaż spokojna słodycz w skłonionéj głowie? ileż wdzięku dobroci w owych rękach, które jakby jeszcze z kprociem błogosławieństw opadają na ludzkość, za którą cierpiał, którą odkupił? Nie dostrzeże tam nawet wpatrujący się badacz fizycznego cierpienia: srogie męki nie zdołały pokonać téj męskiéj świeżości boskiego ciała, nie widać tam i śladu tego sinego całuna, który ziemia matka zwykła nad swą zdobyczą rozciągać; ale jasne tam zwycięztwo nieskończonego życia, nad doczesnym zgonem; ale tleje tam w każdym atomie ten duch, co po trzech dniach wskrzesi umarłe ciało, a po czterdziestu wróci na prawicę Boga, w którym poczęty. Tyle o pierwszém wrażeniu, jakie na mnie obraz zrobił. Rozważając jego rozkład, nie można dość podziwiać mądrości artystowskiéj mistrza; ciało Bożego syna otoczone do koła ludźmi, jakoby cierniową koroną z tych, co mu ją spletli; tylko w niém spokojność, zadowolnienie, pociecha, na wszystkich innych twarzach sroga boleść i głęboki smutek. Marya, matka, znękana cierpieniem, słaby wzrok w niebo zatapia; tam u góry tylko może znaleść pociechę. Nikodem i Józef nie śmieli spojrzeć na święte ciało, spuszczoną powieką skłaniają wzrok ku ziemi. Magdalena błaga przebaczenia, czołga się u nóg Zbawiciela, gorącemi je obmywa łzami. Tylko Jan jeden wzrok pewny natchniony w umarłe ciało utopił; bo chociaż sroga boleść przebodła mu serce, wzniosły, genialny duch apostoła, zrozumiał wielkie powołanie swego mistrza, pojął w całéj świętości niezmierzoną myśl odkupienia. Ulatujący do koła aniołowie, radują się, że Syn Boży już przebył najtrudniejszą chwilę swego poselstwa na ziemi, a przez ich dziecinne, wdzięczne lica, już przełyskuje wesołe Alleluja, które za dni kilka zanócą. Kiedy i przez kogo rzeczony obraz był malowany, dowiedzieć się w żaden sposób nie mogłem; mniemam, iż jest pendzla Vandycka, lub przynajmniéj biegłego jakiego mistrza z jego szkoły; ale bardzo być może, że oddalenie, niezmierna wyźnia, w jakiéj zawieszony; nareszcie złe światło, które wązkie okna nań rzucają, w fałszywem go wystawiając świetle, do również fałszywego domniemywania mnie uwodzą. *)

(Koniec nastąpi.)

O wystawie poznańskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Wszystkie zmarszczki, dołki i cętki twarzy, wszystkie włoski ich brody niegolonéj i ciepłego futra, zgoła nawet całą szorstkość płci niegdyś tak świetnéj po ciele: wszystko to umiał on powtórzyć na płotnie. Widząc go, zrozumiesz może, czemu prorok islamu zabronił skreślać wizerunki istót żywotnych, aby kiedyś na sądzie ostatecznym nie powstały, i oskarżyły malarza, że dawszy im kształty żyjące, życia nie udzielił. Lecz nawet życia na płótnie nie zdołał misterny pendzel Dennera nadać im tyle, ile go inni, n. p. gwałtowny i niesforny Buonarotti, nadawał; bo dusza obrazu nie jest w pilnéj uwadze zapatrzonego na swój przedmiot starannego malarza, lecz znajdzie się jedynie w jego duszy namiętnéj: na wszelką bowiem wyższą piękność oziębłym pozostaje zmysł ludzki, myśl bowiem tylko czuć i rozumieć ją zdoła. Nie ten, kto pilniéj się przykłada do nauki natury, kto głębiéj myśli i mocniej czuje, tento pojmie przyrodzenie w najwłaściwszéj i najtreściwszéj piękności i on go ubóstwi.

Gdańszczanina p. Michaelsona, oraz i Boltego głowy (têtes d' études) zasługują na pochwałę. Ostatni jest uczniem p. Wacha i przejął właściwą mu miękkość pendzla kosztowny obraz p. Dahla «matka z dziecię-

*) Zdaje nam się, że podobny obraz znajduje się w Kaliszu, w kościele Śgo Mikołaja, niepospolitego także mistrza. Czyby autor nie zechciał objaśnić nas w tym względzie, i dwa te obrazy porównać z sobą?

P. R.

ciem. ani drzew kolorytem, ani wyrazem osób ująć nas nie zdołał. Zapomniałem autora wielkiego obrazu, z podpisem: «królewskie dzieci», którego zaletą wprawdzie jest staranność w wykonaniu pysznego stroju obojga dzieci: lecz nie zostawiła po nim dłuższego wspomnienia. Wreszcie pochwalić należy obraz pana Steffecka, przedstawiający kilka koni; dziś już tak mało bitew i rycerskich rozpraw malują, że sztuka Wouwermana raczéj upada, niż się wznosi. Największą winniśmy wdzięczność obu Wernetom, którzy zgadnąwszy, że bohaterom najpiękniéjsze przystoją rumaki, nauczyli się z natury malowania koni. Między ich zwolennikami szczycimy się z wyższego talentu p. Michałowskiego, którego dziś we Francyi za jednego z najdoskonalszych malarzy koni uznano. W Berlinie słynie pod tym względem p. Krüger, znajomy oprócz tego jako najlepszy malarz wizerunków.

Na środku sali poustawianych było kilka obrazów w okół stołu; z ich liczby pamiętam, że się Rundta widok pogrzebu króla Franciszka I. w kościele ś. Franciszka w Neapolu szczególniéjszą odznaczał dokładnością w rozporządzeniu rozmaitego światła, w okół katafalku i w rożnych częściach świątyni. Łasinskiego, ucznia szkoły dysseldorfskiéj, kościół wiejski, podobał się wielce; nie mniéj i p. Wilhelma Krauzego rybacy w holenderskiém miasteczku, którym wyraz narodowy i miejscowy zręcznie nadał.

Na trzeciéj ścianie drugiéj sali, mało obrazów zasłużyło na uwagę: w p. Hauszylda widoku tumu orwietoskiego oceniliśmy wydatność architektoniczną; p. Jana Łasinskiego poranek mniéj nas zadowolnił, jak wyżéj wspomniane prace jego brata Adolfa. Narzeczona Lamermora przez p. Kolbego nie ma powabu właściwego innym jego dziełom. Frilhiof z Ingeborgiem, jakkolwiek do północnych Skaldów należący, więcéjby ognia i życia żądać mogli, niż im udzieliła wyobraźnia starannego i pilnego p. Volkharta. Polowanie na lisa p. Wedla nie jeden przeniósł nad mnogie myśliwskie obrazy p. Szulca. Najwięcéj atoli widzów zwracało swoją uwagę na obraz p. Jaquaud: «małych artystów.» Paryski ten malarz wystawił dwóch chłopczyków, co się zakradłszy do malarskiéj pracowni, przybierają się w zbyt obszerne suknie przeszłowiekowych markizów, które zapewnie malarz od dyrektora teatru pożyczył, dla przywdziewania lalek lub modeli. Jeden z chłopczyków bawi się jeszcze nad strojem, drugi już paletę niezręcznie trzyma w dłoni, lecz zuchwałą ręką powodzi pendzel swój po rozpoczętym obrazie. Tyle dowcipu figlarnego, tyle wdzięku w tych dzieciach, iż zgadniesz, że ojciec ich za powrotem połajać nie zdoła: że z uśmiechem naprawi poniesioną szkodę, i cieszyć się będzie nadzieją oglądania kiedyś synów mistrzami. Dzięki więc malarzowi, co tak poetyczny umiał nadać wyraz téj dziecinnéj psocie, co nam chwilę ubiegłéj może własnéj młodości w tak uroczém przedstawił świetle.

Ostatni obraz téj ściany, który pamiętam, był Faust w swéj pracowni, pana Mila. Autor przedstawił go w nocnéj dobie, zaczytanego nad tajemniczym rękopisem: lampa oświeca blade lica czarodzieja i w okół niego w nieładzie rozrzucone mnogie narzędzia jego sztuki i przedmioty do nauki przyrodzenia potrzebne. Kościotrup, stojący z tyłu, wyziera z pośród tego nierządu, i zda się urągać z pracy czarodzieja. W całéj staroświeckiéj izbie gości jakiś duch nieprzyjazny ludzkości, w którym widz się czuje nieswoim, i pozna całą okropność tych chwil, poświęconych nauce; poczytamy ją za przeklętą, nawet jéj mistrzom szkodliwą. Obraz ten straszliwy osięgnął więc cel zamierzony przez autora i przeniósł nas w łono téj przeszłości, jaką nam strwożone wyobraźnie ludu skreślają w swych gadkach: lecz przeniósłże nas z tą prostotą, jaka przystoi téj poezyi gminu? o tém wątpić należy. Przysada, z jaką okropność téj chwili marzenia jest wydana, mnogie nagromadzone szczegóły, przeznaczone do wywyższenia efektu, wreszcie jawność usiłowania w całym obrazie wydatna, ujmuje mocy wrażeniu. Dumający Faust w jaskini, jakiego nam młodzieńczy Hildebrand był przedstawił, acz pozbawiony wszelkiéj pomocy zewnętrznéj, stokroć więcéj jest Faustem, aniżeli ów, którego pan Mila przedstawił. Albowiem myśl głęboka nie da się wyczerpnąć zewnętrznemi oznaki; jeden rys twarzy więcéj wypowie, niżli cała teatralna postawa: jedna czarka, czerpniętą z głębi zdroju, lepiéj cię nasyci, jak wszystka rosa, którąbyś z nadbrzeżnych otrząsał kwiatów. Faust jest wielkim, sam przez się, ani mu potrzeba całego aparatu czarodziejskiéj potęgi; czemużby go mieli malarze tylko w tych tragicznych przedstawiać momentach, w chwilach okropnéj wewnętrznéj walki, lub zuchwałości człowieka, rzucającego się na największe siły przyrodzenia, i gwałcącego wielkie prawidło stworzenia, oddając piekielnym duchom w ofierze duszę, na królowanie w niebiesiech przeznaczoną: jest wówczas wprawdzie Faust najpoetyczniejszym, ale wyłącznie dla poezyi. Malarz zaś niechaj go ściga po tych rozmaitych scenach wielobarwnego życia, niechaj pochwyca te szczęśliwe pomysły hulanki, psoty i mamideł, w jakich czarodziéj smakował: które Retsch dorobił na wzór Göthego; albowiem ów wielki poeta może ich zbyt skąpił w nieśmiertelnem swem dziele. Za wielką by to było śmiałością, gdyby cudzoziemiec zarzucił największemu z niemieckich poetów, że charakter narodowy Fausta zfałszował, że w nim wiek współczesny zamiast średniego wieku przedstawił, i wreszcie, że w czarodzieju swoim rozpacz stroskanego filozofa rozwinął kosztem krotofilnego psotnictwa, wesołego towarzysza rozkosznéj hulanki i biesiad sutych. Czytając stare życiopisy Fausta w berlińskiéj bibliotece i innych, przekonałem się, że w XVII wieku wcale inaczéj Fausta sobie przedstawiano, niżli go Göthe zrozumiał, i po swojemu uwiecznił. Ów dawny i prawdziwy Faust, zmyślny czarodziéj, krotofilny biesiadnik i płci pięknéj luby towarzysz, podobniejszym był do naszego Twardowskiego w balladzie Mickiewicza, niż do bohatera w arcydziele Göthego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do dziejów wychowania publicznego w Polsce za Augusta III.

(Z autobiografii Wybickiego, senatora, wojewody.)

W roku szóstym życia mojego, wzięty już byłem z domu rodziców, przez xiędza archidyakona Franciszka Wybickiego, stryja mego, na edukacyą, który mnie oddał w ręce swoich wikaryuszów, przy probostwie skarzewskiém będących. Jeżeli pierwiastkowa moja edukacya chybioną została, nie było to winą ani ojca, ani stryja, ale winą czasów, w których się urodziłem. Lata mego urodzenia, były latami ciemności publicznéj, którą ostatnie panowanie Augusta III. Polskę okryło. Prawda, że rok mego urodzenia stanowi epokę w literaturze ojczystéj; gdyż w nim nieśmiertelni Załuscy, biskup krakowski i Referendarz koronny, bibliotekę publiczną w Warszawie założyli, ale to nie były owe wieki Zygmuntów, aby tak ważne ustanowienie ocenić i korzystać z niego umiał Polak. Polacy w tym wieku zupełnie zdziecinnieli byli. Nie mieli swego języka, nie umieli mówić jak ich przodkowie Kochanowscy, Skargowie, Orzechowscy; utworzyli sobie bełkotja-

kiś barbarzyński z łaciny i polszczyny złożony, do którego my jeszcze Pomorzanie przydali słowa Kaszubów i Wandali. Literatura, sztuki i kunszta wolne, z różnemi umiejętnościami, z któremi już prawie cała Europa oswojoną była, dla nas zupełnie były obcemi. Nasi Augustowie zatracili wszystko dla nas. Jezuici, w innych krajach oświeceni, u nas w grubéj w owym czasie niewiadomości, bałwochwalcami tylko dzikiego alwara zostali, obciążając nasze głowy tą niezrozumiałą tajemnicą łaciny; myśleć nie uczono, nawet zakazywano. Ale jakżeż mogło być inaczéj, kiedy opieka rządu nie rozciągała się bynajmniéj do edukacyi publicznéj. Poruczona była zupełnie Jezuitom, a od tych jeszcze ciemniéjszym, tak nazwanym dyrektorom, w których dzikie i tyrańskie ręce wpadliśmy. U nich żywość dowcipu, ciekawość, łatwe pojęcie, te najdroższe dary natury, były przywarą; trzeba było być koniecznie dziwnym, ponurym, milczącym i jak zwykle mnichy, aż do podłości pokornym.

Nie dawano duszy pokarmu, a nawet i ciału. Barbarzyńcy, chcieli mieć z młodzieży cienie i mary, z ludzi wolnych zwierzęta w jarzmie, z obywateli, przeznaczonych do służenia ojczyznie orężem i radą, nieczułe i ciemne utwory. Oni to rzucili nasienie zaguby naszéj politycznéj, które nam wydało owoc hańby i niewoli.

Pod taką więc nieszczęśliwą gwiazdą zacząłem moją edukacyą. Żywość moja wrodzona była podobno przykrą rodzeństwu w domu, a gdy, jakem wyżéj wspomniał, lat sześć mając, dostałem się wręce xiędza Wikarego, nibyto nauczyciela, co moment na mnie pokuty za moją żywość wkładał. Pojęcie dobre i pamięć, którą mnie natura uposażyła, czyniła mi łatwemi początkowe nauki. W dwa lata umiałem dobrze czytać, pisać i początki łaciny pojąłem, czyli pamiętałem. Xiądz stryj i mój ojciec, osądzili mnie więc godnym szkół jezuickich, które były na Szotlandzie w Gdańsku, i do nich mnie w osmym roku oddali.

Nie będę opisywał toku edukacyi w niższych klassach; był taki sam, jakem wyżéj wspomniał. Kazano się zawsze pod odmiennemi nazwiskami złéj uczyć łaciny, bez żadnéj korzyści. Myśleć nie kazano. Chwalono bojaźliwość, podłość, zdrętwiałość; gdy przeciwnie wrodzona otwartość, szlachetna śmiałość, żywość dowcipu zasłonić często niemogły najlepsze w naukach postępki od chłosty i poniżenia. Zgoła codzień słyszałem jęk, prośby uczniów; tyraństwo nauczycieli było zwykłem téj szkoły obrazem. Czyż mogła się tam moralnoćć i piękne uczucia, to największe dobro człowieka, w sercach niewinnych zawiązać? Zwracam od tego przykrego przedmiotu oko i serce, które dotąd jeszcze nad tém ubolewa, powiem tylko, żem w dwunastym roku, mego życia, skończył klassę poezyi i otrzymałem promocyą do retoryki. Na niejaki czas przerwała mi nauki śmierć nagła mego ojca, który paraliżem tknięty, mnie w dwunastym roku osierocił. Niech na to wspomnienie prochom jego złożę ofiarę méj niewygasłéj synowskiéj miłości. Mąż wierny, ojciec dobry, sędzia sprawiedliwy, gospodarz rządny, sąsiad spokojny, przyjaciel stały, w 62. życia swego z tym się pożegnał światem. Ja od niego szczególnie byłem kochany; miło mi jest sobie przypominać, jak w tém życiu patryarchalném używał mnie często do swych gospodarskich zatrudnień. Nie był bez nauki, jakie te czasy dać mogły. Dość piękną bibliotekę po sobie zostawił, ściągającą się do jego urzędu. Miałem różne jego pisma, ale i te w nieszczęściach moich utraciłem.

Śmierć ukochanego mego ojca, wpędziła mnie w ponurość i żal nieutulony. Powróciwszy do szkół, cały zajęty czytaniem żywotów Świętych, postanowiłem zostać Reformatem, który to zakon widziałem w szczególném poważaniu u moich rodziców. Mój młody i rozpalony umysł rozumiał nawet widzieć i słyszeć do tego stanu powołanie nieba. Ciemnota zwykle w to miesza Boga, co jéj uprzedzeniu i zabobonności pochlebia. Zgoła niebyłbym waszym ojcem, gdyby to moje mylne powołanie roztropnemu kapłanowi stryjowi memu, xiędzu Archidyakonowi pomorskiemu, niebyło przez Reformatów przełożone. Jego nauka i roztropne przestrogi rozchwiały moje postanowienie i zachęciły do kończenia nauk w retoryce. Trzy lata byłem w téj klassie; wiek mój młody nie pozwalał mi jeszcze chodzić na filozofią i teologią. Gdy już skończyłem lat piętnaście, zaczęła mnie ta szkolność, zawsze jednakowa, nudzić, a najbardziéj rozdrażniała mnie zuchwałość tyrańska xiędza Działowskiego, professora. Pozwalał sobie w naszéj klassie takiéj dzikości, jak w infimie. Lubił Jezuita bić i z kańczugiem do nas chodził; — oburzyłem się na to i zaczynając już myśleć, stanąłem na czele moich kollegów, aby téj niewoli i hańby nie cierpieć. Téj dziecinnéj charakteru insurrekcyi opisywać nie będę, dość, że była obrazą majestatu szkólnego, i tą klątwą szkoły od ciała uczniów odcięty zostałem jako członek zaraźliwy. Poszła ta sprawa przed ważniejszy trybunał xiędza stryja, zawsze w Gdańsku jako officyała mieszkającego. — Po danéj, jako młodemu, naganie, byłaby klątwa za jego rozkazem zdjęta; ale mój stryj, kapłan prawdziwie oświecony, czuł dobrze próżność nauk Jezuickich, i chcąc mnie, jak wieki niosły, do oświeceńszéj oddać szkoły, przeznaczył mnie do kancellaryi grodzkiéj, a potém do trybunalskiéj, postrzegając wemnie dowcip i do prawnictwa skłonność. Akademii żadnéj w kraju nie było, gdy tymczasem w Niemczech prawie w każdém znaczniejszém mieście. Akademia krakowska tyle była znaną na Pomorzu, co paryzka. Żadnego nam bowiem wyobrażenia nauk i szkół wyższych niedawano. Taki los był oświecenia



Wybicki, senator i wojewoda.

publicznego! Z resztą ta wszechnica krakowska, która dopiero za panowania Stanisława Augusta cokolwiek się wzniosła, była dawniéj, jak ten odwieczny posąg, w którym przez podanie tylko bałwochwalcze, wielbiono dawne jakieś bóstwo, lubo w nim wieki i burze, twarzy i członków wszystkich zagładziły charakter.

(Koniec nastąpi.)

Józefa Bogdana Zaleskiego,

którego poezye wyszły świeżo w Pradze czeskiéj u Spurnego,

urojenia wiosenne.

(Podsłuchano).

Duma przy krosienkach. *)

O! widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie;
I moje kwiateczki, z rozpukłych zasłonek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Po kwietniéj, po świętnéj, z przewodnią niedzielą
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą
W czerwone, w niebieskie listeczki!
O! milsze krosienka, i t. d.

Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu,
Dość o mnie, o kwiatkach — co? jakie do twarzy?
Co? jakie mam upleść w warkoczu?
O! milsze krosienka, i t. d.

O! wiém ja, wiém kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdy odsłoni;
Lilije uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach na skroni,
O! milsze krosienka, i t. d.

Wieczorem, za dworem, gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku,
O! prędzéj, co prędzéj u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku,
O! milsze krosienka, i t. d.

Gość jedzie, — już w bramie, rże konik z podwórka,
Mój Boże! ach! co go przywiodło?
I woła i pyta: «a państwo, a córka?»
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka, i t. d.

Od brzęku, od dźwięku, ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje;
Aż skacze serduszko, — bo wojak to wielki, —
Wszelako nie bardzo się boję.
O! milsze krosienka, i t. d.

Groziła mi ciocia — o! gdzie tam? — co cioci! —
Groziła z uśmiechem, nie szczérze;
»Bałamut!« — o gdzie tam! — to aniół dobroci!
Bałamut? — nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka, i t. d.

On idzie i kłania, i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i zcicha;
Wstyd oczu mi podnieść, tak chwali nieskromnie,
Pochlebnik! — o biedny! on wzdycha.
O! milsze krosienka, i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna!...
Lecz będę, o! będę ostrożna!...
Całować chce różę, dalibóg zaczyna; —
O proszę! nie można! nie można!
O! milsze krosienka, i t. d.

---

*) Wierszyk ten (z noworocznika: Melitele na r. 1837) godzien jest szczególnéj uwagi każdego, kto rozumie poezyą. Wiele mowióno o niezłatności polszczyzny do wydania lekkich pomysłów; a przecież w żadnym języku nie zdarzyło nam się czytać nic bardziéj wdzięcznego (gracieux), bardziéj napowietrznie lekkiego, nad te kilkanaście wierszy. Nie wtém wszakże istotna ich wartość, to tylko są zalety formy; ale ta cudna prawdziwość, ta żywa natura, to wcielenie płochych, mglistych, niedokonczonych pomysłów młodéj, wesołéj dziewczyny, eoto myślą sto różnych rzeczy draśnie, a zawsze w końcu do jednego przechodzi punktu, oto w czém widać najwyższą sztukę. W czasach drobiazgowéj krytyki, kiedy każdą rzecz na atomy rozbierano, kiedy Laharpe, w swoim «Cours des belles lettres» spory rozdział poświęcał na rozbiór jednéj bajki Lafontaina «dąb i trzcina» — możnaby było napisać cały traktat o tym na pozór małoznaczącym wierszyku. W tém jedném: «O! widać i słychać!» jest więcéj poezyi, niż w wielu poematach o dwunastu pieśniach. Zaiste, słusznie poeta nazwał swój wiersz podsłuchaniem: podsłuchał on nie mowę ust, ale bicie serca. Nie, pospolity to artysta, co tak umie podsłuchać i z tego, co słyszał, tak ładną upleść plotkę.

(*Wyjątek z Tygodnika petersburskiego, z roku* 1837.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie (*Redaktor Ciechański.*)